

Quo vadis Belarus?

Dokąd idziesz Piotrze? Miał spytać Jezus Chrystus Apostoła, gdy ten pośpiesznie opuszczał Rzym w czasie okrutnych prześladowan chrześcijan. Piotr zawrócił, poniósł męczeńską śmierć przypominając nam, jak dramatyczne bywają wybory kierunku drogi, którą podążamy z własnej woli lub poprzez wpływ naszych rodziców, proroków, albo tych, w których rękach są parlamenty, sądy, media, uniwersytety, policja i służby specjalne.

Przez kilka lat po 1991 r. białoruskie społeczeństwo, popierając konkurencyjne partie i programy, stawiało całkowicie sprzeczne ze sobą drogowskazy. Dyskusja nad właściwym kierunkiem zajmowała tak wiele energii, że kraj właściwie tkwił w miejscu potęgując uczucie niezadowolenia i tęsknotę za stabilnością sowieckiego systemu. Aleksander Łukaszenko umiał werbalizować uczucie nostalgii szeroko rozprzestrzenione na Białorusi. Wygrał prezydenckie wybory i zdecydowanie rozpoczął budowę autokratycznej władzy ułatwiającej mu wygrywanie następnych. Obecnie, nawet gdyby odbyły się prawdziwie demokratyczne wybory z równym dostępem do środków masowego przekazu wszystkich sił opozycyjnych (marzenie ściętej głowy) i tak zdobyłby pokaźną liczbę głosów przekraczającą 30 %. Ustawił drogowskazy i kieruje społeczeństwo w kierunku, który nie wywołuje zaniepokojenia, który wydaje się swojski i mało ryzykowny. Nie wytacza nowych szlaków, lecz podąża za swym protektorem i sojusznikiem. Wiąże przyszłość Białorusi z przyszłością Rosji. Co gorsza, wymaga, aby białoruskie społeczeństwo na nowo - jak w czasach sowieckich - uwierzyło, że Rosja i Białoruś zawsze były kochającymi się siostrzycami, a Rosja nigdy nie była widziana w Połocku, Kryczewie, Witebsku czy Brześciu i Grodnie, jako okrutny wróg, profanator kościołów i łupieżca. Jeśli mu się ten zamiar powiedzie, a pomagają mu w tym liczni zarządcy uniwersytetów, domów wydawniczych i mediów, to nic nie będzie kładło tamy we wtapianiu się Białorusinów w "bratnią" im *wielikoruską* populację.

To wtapianie się w cudzą historyczną pamięć, obcy język i religię, zagraża narodowemu istnieniu. Jeśli ten proces nie zostanie zahamowany, Białorusini podzielą los Jadźwingów. A szkoda, bo byli narodem o wielkiej kulturze, którą umieli się dzielić w języku zdolnym pozostawić pomniki prawa na poziomie II i III Statutu Litewskiego. Umieli walczyć z wrogami w obronie swych granic i swych obywatelskich praw i wolności. To prawda, że w odróżnieniu od Irlandczyków nie potrafili obronić swej wiary i kościoła, który oddzielał ich od Polaków i Litwinów z jednej strony, a Rosjan z drugiej. Niszczenie kościoła unickiego, rozpoczęte przez Piotra Wielkiego morderczymi atakami furii przeciwko połockim bazylianom, kontynuowała Katarzyna II, a zakończył Mikołaj I. Ta klęska, to niechętne, ale wywalczone posłuszeństwo przez gnębiącą niepokornych władzę carską, która nie przyszła łatwo. Katarzyna zaczynała na początku lat siedemdziesiątych XVIII wieku. Mikołaj kończył na początku lat czterdziestych XIX wieku. Trauma tej klęski, podkreślanej wciąganiem pokonanych do świętowania zwycięstwa narzuconej podporządkowanej państwu religii, nie mogła nie pozostawić śladów na białoruskiej świadomości. Nie mogła nie osłabić optymizmu i życiowej siły niegdyś dzielnego narodu. Kierunek marszu wybrany przez Łukaszenkę i jego wyborców nie pozwala

Białorusinom odzyskać wiarę w siebie i nie wzmacnia poczucia godności, które niegdyś charakteryzowało ich pradziadów.

Nie wiem, chociaż już dość dużo o tym pisano, w jakim kierunku zamierzali podążać Jelcyn, Krawczuk i Szuszkiewicz, opuszczając szlak wytknięty przez Lenina i Stalina, a kontynuowany przez Chruszczowa, Breżniewa i ich następców. Może opuszczali tonący statek w imię narodowych interesów, może wyzwali się spod władzy reformowanego przez Gorbaczowa sowieckiego imperium. Na pewno śnił się im zakazany owoc kapitalistycznej, bogatej demokracji, obywatelskiego społeczeństwa i państwa prawa. Na pewno po części, choć w innych proporcjach, wszystko powyższe było tam pomieszane ze sobą plus osobiste, trochę napoleońskie poczucie wodzostwa w historycznie przełomowej chwili. Niezależnie dokąd zmierzali pod sztandarem wolności i demokracji, to nie tylko przyszło im wyznaczać kierunek drogi dla swoich społeczeństw i państw. Wolność i demokracja pozwala społeczeństwom tworzyć nowe partie, wyłaniać innych przywódców, proponować i ustalać nowe kierunki ruchu. W pierwszych miesiącach i latach, głos wolnych mediów i nowych elit politycznych zdawał się wróżyć szybką europeizację eks-sowieckiej Euroazji. Był to jednak głos reprezentujący niezbyt duży procent ludności. Krach gospodarczy, wielki chaos transformacji, niemożność prywatyzacji rolnictwa i powszechne zubożenie, radykalizowało scenę polityczną. Wzmogły się głosy zachwalające *status quo ante* i dostrzegające w upadku sowieckiego imperium największą klęskę XX wieku. Na terenie Rosji, Ukrainy i Białorusi, jak i w całym obszarze byłego Związku i sowieckiego bloku, dochodziło do przegrupowań w elitach władzy, a więc i do zmian drogowskazów.

Rosja dość spieszenie, porzucając demokratyczno-liberalne - zachodnie - modele, zaczęła budować "własną drogę" zakorzenioną w wielowiekowej carskiej, imperialnej historii i kulturze. Na historyczną scenę powrócił – jako sprzymierzeniec władzy - kościół prawosławny. W najbardziej uroczystych momentach, jak podporządkowanie się patriarchatu rosyjskiej cerkwi na obczyźnie patriarchatowi moskiewskiemu, prezydent Putin zasiada na carskim tronie za carskimi waratami i chociaż wciąż ateista, żegna się nadzwyczaj gorliwie. Jednocześnie powraca do sowiecko brzmiącego hymnu państwowego, sztandarów z młotem i sierpem, czerwonej gwiazdy. Nie waha się też z wyrażaniem podziwu dla władców sowieckiego imperium. Prezydencki autokratyzm łamie skutecznie demokratyczne mrzonki z wczesnego okresu Jelcyna.

W ciągu ostatnich dwudziestu lat ukraińska prezydencko-oligarchiczna władza zdawała się, bez dokonania koniecznych zmian prawnych, zmierzać na Zachód. Jednak prywatne, grupowe i partyjne interesy i rywalizacje bardziej przypominały niesławny okres siedemnastowiecznej "ruiny", niż jakikolwiek inny okres z historii tego kraju. Wielka ogólnonarodowa demonstracja okresu pomarańczowej rewolucji nie zdołała pozbyć się wzajemnego wyniszczania, egoistycznej prywaty i zacząć proces istotnych reform. Obecny prezydent i jego zwolennicy ustalają kierunek na Wschód. Ukraina wchodzi w okres perejesławskiej unii, a jej rządzące elity chcą wzmacniać kraj i siebie, dzięki krzepkiej pomocnej dłoni wyciąganej z Kremla. Janukowicz wydaje się nie pamiętać, że łatwiej było zaprosić Moskwę do Kijowa, niż ją stamtąd wyeksmitować.

Na tle Rosji i Ukrainy, białoruski flirt z wolnością, demokracją i Europą był chyba najkrótszy, pozbawiony większych uniesień i temperowany uczuciem niepewności wobec nieznanego. Także w odróżnieniu od państw bałtyckich i krajów dawnego bloku sowieckiego, na Białorusi nie czuje się podskórnego strachu przed Moskwą. Strachu, który dominował i napędzał transformację, czyli drogę na Zachód, Polski, Węgier, Estonii, Łotwy, Litwy i Rumunii.

Aleksander Łukaszenko, który doszedł do prezydenckiej władzy w demokratycznych wyborach, dzielił z większością swoich wyborców nieukrywaną nostalgię za sowiecką przeszłością. O kierunku, w którym zmierza Białoruś decydują jej mieszkańcy, jej artystyczne, intelektualne i polityczne elity. Decyduje rząd i specjalne służby bezpieczeństwa. Decyduje też, i to w dużym stopniu, prezydent Aleksander Łukaszenko: oficjalnie prezydent, a *de facto* dyktator otoczony kręgiem zaufanych doradców i dworaków.

Pytanie Chrystusa wstrząsnęło Piotrem i zmieniło kierunek jego drogi. Czy to samo pytanie skierowane zarówno do tych, którzy żyją w Białorusi, jak do tych, którzy nią aktualnie rządzą, jak i do tych, którzy chcą nią rządzić - może kogokolwiek skłonić do równie głębokiej refleksji? do ustawiania drogowskazów? do opisu i próby krytycznej analizy przebytej drogi? To ostatnie wydaje się szczególnie ważne, gdyż jest to po raz pierwszy od wielu wieków droga wybierana przez niepodległe białoruskie państwo, jego parlament, rząd i społeczeństwo.

Od 1991 r. Białoruś rozpoczęła swe niepodległe istnienie. Rozpoczęła drogę porównywalną do tej, która była losem wielu państw Wschodniej i Centralnej Europy w okresie międzywojennym. O tym okresie - od czasów Jałty - zwykło mówić się z nostalgiczną tęsknotą i obronnym podkreśleniem osiągnięć i suwerenności. Załamanie się tych niepodległych państw pod uderzeniem wojsk Hitlera i Stalina odczuwa się jako wielką stratę. Stratę domu, który cokolwiek by powiedzieć, był wspólną własnością obywateli. W tym samym czasie przyznajemy, że ani my, ani wybierane przez nas parlamenty, jak i późniejsze autokratyczne rządy nie wykorzystały w optymalny sposób wywalczonej?, danej? nam szansy. Od Belgradu przez Sofię, Bukareszt, Budapeszt, Pragę, Warszawę, Kowno i Rygę aż do Tallina, ani nie przewidziano układu Mołotow-Ribbentrop, ani nie tworzone sił zdolnych powstrzymać zapowiedziany hitlerowski marsz po lebensraum. Nikt też nie był gotowy do spotkania z ponownie maszerującą na Zachód Armią Czerwoną i postępującymi za nią siłami NKWD. Dyktat Hitlera został zastąpiony dyktatem Stalina i jego następców. Olbrzymie zmiany gospodarcze, społeczne, polityczne i światopoglądowe, które dokonywały się w ciągu kilku lat powojennych, jak: nacjonalizacja, reforma rolna przeradzająca się w tworzenie kołchozów, rządy jednopartyjne, marksizm jako podstawa "racjonalnego" spojrzenia na świat, nie były wynikiem społecznego wyboru, lecz komunistycznego dyktatu. Próby zmiany narzucanego kierunku kończyły się przeważnie niepowodzeniem (1956, 1968, 1979/81). Kierunek „komunizm” obowiązywał nawet tam, gdzie wyrwano się, lub osłabiono kontrolę Kremla, jak Jugosławia i dużo później Rumunia. Ktokolwiek zgłaszał wątpliwości co do kierunku marszu, ktokolwiek chciał szukać innej drogi lub naśladować tych, którzy daleko poza żelaznymi granicami inaczej rozwiązywali problemy swoich państw i społeczeństw, był bezwzględnie tępiący. A mimo to nie zmniejszała się liczba "rewizjonistów", opozycjonistów, inaczej myślących sceptyków i buntowników. Były

demonstracje uliczne i wzmagające się niezadowolenie pracowników największych zakładów przemysłowych i pracowników transportu. Głosy krytykujące kierunek i organizację marszu słyhać było od Zagrzebia do Gdańska. Zawarty w nich sprzeciw najjaśniej i najgłośniej ogłosiła Solidarność, odważnie deklarując podstawową zasadę wszelkich demokracji: "Nic o nas bez nas". Zakwestionowano cel i kierunek marszu, jego kierownictwo i organizację. Stan wojenny nie na długo utrzymał komunistyczny *status quo*. Wątpliwości co do organizacji marszu wstrząsnęły podstawami sowieckiego imperium. Odśrodkowe narodowe siły chwilowo przemogły imperialistyczną siłę centralnego zarządzania.

Nie mniej, w innym czasie i z innym zapalem czy łatwością, prawie wszystkie te same państwa wykorzystały sytuację międzynarodową, Solidarność, Reagana i Gorbaczowa do wyrwania się z sowieckiej zależności. Większość z nich wstąpiła do NATO i Unii Europejskiej. Poza tymi organizacjami znajduje się obecnie Belgrad i Tirana. Tkwią niczym Białoruś i Ukraina pomiędzy tym Nowym/Starym Zachodem, a stopniowo odradzającym się imperium rosyjskim. Przykro tak myśleć, ale szanse Albanii, Serbii i kilku innych państw bałkańskich w dołączeniu do Unii wydają się większe, niż Mińska i Kijowa. Władze tych ostatnich prą na Wschód. Są duchowymi potomkami kolaborantów z caratem i bolszewizmem. Aż trudno uwierzyć, że potomkowie zaporoskich kozaków i siczowych strzelców lub bohaterskich obrońców Połocka, Kryczewa, Witebska i tylu innych miast nie znajdują sił, aby zmienić kierunek marszu i lepiej wczytać się w nurt własnej, a nie cudzej historii.